

Antananarivo, dnia 4 grudnia 1992 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!  
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Długo zwlekałem z napisaniem tego listu wspólnego, ale już dłużej nie mogę odkładać. Dziś mija dokładnie 12 lat od chwili mojego przybycia na Madagaskar. I dziś też próbowałem rozstrzygnąć o dalszym moim losie. Wskutek tego czeka Cię, Drogi Czytelniku, kilka nieprzyjemnych niespodzianek. Przede wszystkim forma papieru, gdyż używam maszyny elektronicznej z taśmą jednorazowego użytku. Taśmy do mojej maszyny elektronicznej na Madagaskarze nie kupię. Chcąc zaoszczędzić taśmę znalazłem papier, na którym powstają litery bez taśmy. Jest on używany przy telefaks'ach i nadaje się do mojej maszyny, a że jest w rolkach, więc jego format będzie taki, „jaki mi wyjdzie”, czyli na ile starczy pamięci w maszynie. Po wydrukowaniu pierwszej strony napiszę drugą likwidując w pamięci pierwszą. Maszyna japońska z czcionką francuską jest bez polskich liter, chociaż są znaki z wielu innych języków europejskich.

Następną niespodzianką jest mój pesymizm, którego nie potrafię więcej ukrywać. Od powrotu z Europy minęło już 15 tygodni, a ja tylko jeden raz czułem się księdzem, gdy zostałem zaproszony przez pewnego (polskiego) proboszcza do pomocy w spowiedzi pierwszopiątkowej i rzeczywiście przez pełne dwie godziny nie nudziłem się w konfesjonale. Poza tym robiłem wiele, ale nie tego, co należy do obowiązków kapłańskich. Z tego też powodu poruszę tylko trzy problemy, dla mnie bardzo ważne, dzięki czemu zmiana mojego nastawienia do misji mi powierzonej będzie lepiej zrozumiana. I na to zrozumienie liczę.

#### 1. S c h o l a s t y k a t

Tak nazywamy w naszym Zgromadzeniu dom wychowawczy, w którym młodzi Oblaci przez studia filozoficzne i teologiczne przygotowują się do kapłaństwa. Troskę o powołania uważamy za priorytetową dla misji, aby miejscowy Kościół mógł być samodzielny i silny. Powołań na Madagaskarze nie brakuje, problemem jest praca wychowawcza. Przede wszystkim tutaj powołanie jest awansem społecznym, a warunki życia duchownego nieporównywalnie lepsze. Na przykład, na dzień robotnik zarabia 1.500 franków malgaskich (fmg), a na jedzenie jednego seminarzysty przeznaczona się 2.500-3.000 fmg, oprócz tego dochodzą opłaty za studia, wodę, światło, samochód, pensje pracowników itp. Potrzeba więc właściwie wyjaśnić sens powołania, aby kandydat pracował dla idei służenia Chrystusowi i Kościołowi ciesząc się z tego, co otrzymuje, a jednocześnie nie zapominał, jak żyje jego rodzina. Dlatego ucieszyły mnie sprawozdania naszych seminarzystów z wakacji, gdyż pomagali swoim rodzicom w pracach domowych, zwłaszcza na polu.

Wyjeżdżając po urlopie z Polski zdawałem sobie sprawę, że czekają mnie trudności związane z otwarciem naszego Scholastykatu w stolicy. Znałem też moje zadania. Nie myślałem jednak, że trudności będą aż tak wielkie. Dlatego w skrócie je podaję. Obiecano mi, że dom będzie wykończony z jednomiesięcznym opóźnieniem, czyli dnia 15 sierpnia. Biorąc ten termin pod uwagę wyjechałem na czteromiesięczny urlop z Diego Suarez nie tylko z powodu styczniowego ataku, ale także chcąc przybyć do stolicy już na czas zakończenia budowy, chociaż rok szkolny rozpoczyna się dopiero w połowie października. Miałbym czas na spokojne przygotowanie się do pracy przed przybyciem scholastyków w końcu września. Tymczasem dom do tej chwili nie jest wykończony. Ja przez 14 tygodni nie mogłem rozpakować swoich rzeczy wciąż spakowanych i leżących już teraz w pokoju. Przez dwa tygodnie mieszkalem w domu dla przejezdnych księży i dochodziłem lub dojeżdżałem taksówkami doglądać budowę, na której udawano, że coś się robi. Wykonawca nie miał pieniędzy na zakup cementu. Potem zamieszkałem u Braci Szkół Chrześcijańskich w dobrych warunkach, ale bez jedzenia u nich. Przez tydzień na obiady chodziłem 4,5 km w jedną stronę do Sekretariatu Episkopatu. Potem już było lepiej, gdyż obiady jadłem u Lazarystów w polskiej atmosferze. Ale przez 9 tygodni śniadania i kolacje robiłem sam mając do dyspozycji elektryczny garnek do gotowania wody.

Przez sześć tygodni nieliczne książki z biblioteki leżały na podłodze i trudno się było zorientować, co jeszcze potrzebne. Trochę książek przyjdzie w styczniu, ale podręczniki nie są jeszcze zamówione i dopiero teraz obiecano nam pieniądze na ich zakup. Nie ma potrzebnej do studium ciszy. Od tygodnia Mszę Świętą odprawiam w pomieszczeniu przeznaczonym na kaplicę, ale w domu wychowawczym nie mogę przechowywać Najświętszego Sakramentu! I to jest najważniejszy problem: otrzymałem obowiązki bez możliwości ich wypełnienia, a seminarzyści mają pracować intelektualnie i duchowo, też bez minimum warunków. Co z egzaminami?

Od 3 grudnia mamy wreszcie wodę. Do tej pory dowożono samochodem-cysterną. Ale przez dwa tygodnie po wyprowadzeniu się od Braci mieszkałem bez wody i możliwości używania łazienki w tropiku. Na szczęście, naprzeciwko polscy Lazaryści dużo nam pomogli, chociaż przez dobre obiady (zjadłem ich 53). Sam dom jest zbudowany niedbale, plan zrobiony bez rozeznania funkcjonalności nie ułatwia ustawienia mebli w pokojach. Aby postawić większy kredens we wspólnym pokoju na pierwszym piętrze, trzeba było ciąć poręcze i potem znów spawać. Schody nierównej wysokości. Okna i drzwi z bardzo świeżego drzewa (dwa tygodnie po ścięciu w lesie) już zdeformowały się, a pierwszy deszcz zmoczył mi książki i listy na biurku, zamokły książki leżące w paczkach na podłodze we wspólnej sali seminarzystów. Okna poprawiono, ale woda nadal leci do pokoju i nie leci wyłącznie przy słonecznej pogodzie. Jeszcze nie mam mebli w pokoju (poza łóżkiem, biurkiem i dwoma krzesłami, zresztą więcej krzesel do pokoju nie wejdzie). Nadal nie mogę rozpakować bielizny i ubrania. A na zewnątrz domu nadal mnóstwo pracowników robi coś, chociaż efekty mało widoczne.

## 2. Z n a k k a p ł a ń s k i

W Polsce nie ma problemu z rozpoznaniem kapłana, który nosi sutannę, a przynajmniej koloratkę w kapłańskiej koszuli. I ja starałem się tak ubierać podczas mego pobytu w Polsce, ażeby dostosować się do tego zwyczaju. Inaczej ubieram się we Francji, ale dzięki małemu krzyżkowi w klapie marynarki na przystanku autobusowym przy dworcu wschodnim w Paryżu poproszono mnie o odprawienie Mszy Świętej. W czasie rozmowy okazało się nawet, że stojąca przede mną osoba znała listy mego współmieszkańca drukowane w misyjnym czasopiśmie. Inny zwyczaj, też dobry.

Będąc w Wyższym Seminarium w Diego Suarez nigdy nie założyłem sutanny. Wszyscy Księża Profesorowie studiowali we Francji i tam otrzymali doktoraty. I ja musiałem się do miejscowych zwyczajów dostosować, chociaż nosiłem krzyżyk. I ten dziesięciocentymetrowy krzyżyk wywołał oburzenie i zgorszenie: zbyt duży, „biskupi”. Takie uwagi nie trwały długo, po kilku dniach wszyscy się przyzwyczaili i przestali reagować widząc, że ja nie zamierzam zrezygnować z noszenia tego krzyżyka. Kiedyś gość, też z doktoratem francuskim, usłyszał w odpowiedzi: „po pierwsze - nie wstydzę się Krzyża; po drugie - ten krzyżyk jest pamiątką otrzymaną dziesiątego dnia po moich święceniach w Komańczy”. Ma się rozumieć, musiałem wytłumaczyć, co to za miejscowość w Polsce. Odpowiedź moja była powtórzona przez tego księdza podczas kolacji, ale to już niczego nie zmieniło. Krzyżyka tego nie wziętem ze sobą do Europy wkładając do jednego z kartonów w Diego Suarez przed urlopem. Duży krzyż otrzymany podczas składania ślubów wieczystych miałem w Polsce, ale też jeszcze nie noszę, ponieważ nosi się tylko na sutannie, a ja nie mogłem wyjąć sutanny z bagaży. Używaną białą sutannę w Polsce nie wiozłem samolotem ze sobą mając dwie białe na Madagaskarze. Wiele tygodni więc chodziłem bez znaku kapłańskiego. W dniu pierwszych ślubów nasi seminarzyści i brat otrzymali obłackie medaliony o średnicy 33 mm i taki medalion nosi każdy z polskich oblatów, więc możemy być rozpoznani jako duchowni, misjonarze. Wszyscy z wyjątkiem nas kilku, także mnie, bo ja swój medal oddałem, gdyż brakowało dla składających śluby i do końca listopada mój krzyżyk wciąż znajdował się w jednym z kartonów.

A piszę o tym dlatego, że w połowie września wychodząc z poczty zostałem zaatakowany przez Malgasza nienawidzącego kolonialistów. Do „rękoczynów” nie doszło, gdyż nie reagowałem idąc bez oglądania się. Jednak na przyszłość wolałbym cierpieć jako misjonarz, niż jako Francuz. W tej dzielnicy niedawno zamordowano jednego Hiszpana i obito kilku innych obcokrajowców.

### 3. Dług wdzięczności

Najtrudniejszym do spłacenia jest dług wdzięczności. „Lepiej dawać, niż brać” oraz „czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości” sprawdziły się także w moim życiu. Już wiele razy w życiu „musiałem” robić coś wbrew sumieniu. Wiele razy wypominano mi wyświadczone dobro, zwłaszcza wtedy, gdy sumienie nakazywało mi reagować inaczej, niż dobroczyńca sobie życzył. Bez względu na motywację ofiarodawcy nieraz dług wdzięczności bardzo ciąży i uniemożliwia realizację pragnień, a przynajmniej nakazuje przemilczenie i zatajenie własnego niezadowolenia. Tak stało się we wrześniu i październiku. Właśnie świadomość okazanej mi życzliwości i wartość darów otrzymanych podczas urlopu w Europie sprawiły, że wtedy nie opuściłem Madagaskaru. Po prostu nie chcę zawieść Dobroczyńców. Ostatecznie zdecydowałem się jeszcze trochę popracować, chociaż w tej chwili nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Okazana mi pomoc w tych trudnych tygodniach znów powiększyła dług wdzięczności, dlatego nie będę mógł odmówić niektórym osobom, gdy o coś będą mnie prosili, a z góry wiem, że spełnienie tych próśb niekorzystnie odbije się na moich obowiązkach. I to trzeba wziąć pod uwagę, bo „nic nie ma za darmo”. Dlatego proszę wszystkich moich Dobroczyńców o zrozumienie mnie i wybaczenie, jeśli w przyszłym roku znajdę się w Polsce. Proszę także o rozważenie wielokrotnie powtarzanego w Biblii ostrzeżenia, że „ufność należy pokładać w Bogu, nie w ludziach”. Tej prawdy i ja doświadczyłem i teraz doświadczą jej moi Korespondenci i Dobroczyńcy.

Praktycznie: ten list jest ostatnim listem wspólnym i na przyszłość będę pisał tylko listy „osobiste, prywatne”, poruszając tematy, o które będę proszony. Jest to także wynikiem mojego nowego zadania: w Scholastykacie dzieje się niewiele, co mogłoby zainteresować lub być opisane, a w duszpasterstwie bezpośrednio nie pracuję.

Zakończę jednak optymistycznie. Zajmujący się budową i obowiązkami ekonomy Brat Bogusław mieszkał i stołował się ponad trzy miesiące u Lazarystów, z którymi sąsiadujemy przez drogę. Ja zjadłem tam 53 obiady, korzystałem z pralni (choć częściej robiłem to sam dzięki kupionym w Polsce koszulom, których prasować nie trzeba). W czasie pisania tego listu Lazarysta, Ojciec Jerzy, przyjmujący nas u siebie przyniósł nam rachunek za udzieloną nam gościnę. Poinformował nas, że w pewnym magazynie jest automatyczna pralka, którą obejrzał. Kazał nam ją kupić, przywieźć i... wstawić do naszego domu. Po prostu jest to jego prezent dla nas. Nas nie byłoby stać w tej chwili na kupno tej pralki, chociaż o niej marzyliśmy. Pieniądze mieliśmy, ale przeznaczone właśnie na zapłacenie za nasz pobyt i jedzenie u Lazarystów. Czekaliśmy na rachunek i teraz otrzymaliśmy. Pralka nam się przyda, jest nas w domu trzynastu, a w tropiku bielizna brudzi się szybciej, niż w Polsce. Gości też u nas nie brakuje. Współbracia-Rodacy nas odwiedzają często.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*

\* \* \* \* \*